



Niemcy zmuszeni do opuszczenia Czechosłowacji; z prawej: niemieccy wygnanci opuszczają Kłodzko na Dolnym Śląsku

Rok 2009 jest w Niemczech rokiem wyborczym: kalendarz polityczny przewiduje wybory prezydenta kraju, wybory do Parlamentu Europejskiego, wybory do Bundestagu, a także do parlamentów krajowych w czterech landach.

Ale rok 2009 jest także rokiem pamięci, rokiem rocznic. 20 lat mija od pokojowej rewolucji w Europie Środkowej, dla której decydującymi impulsami była Solidarność, Okrągły Stół w Warszawie i pierwsze na wpół wolne wybory 4 czerwca 1989 r., co umożliwiło upadek „żelaznej kurtyny”. 30 lat minie od chwili, gdy podczas pierwszej wizyty Jana Pawła II w jego ojczyźnie miliony Polaków zebrały się na wielkiej manifestacji nie tylko wiary, ale, jak się wkrótce okazało, także pragnienia wolności. 60 lat minie od powstania NATO; sojuszu, który chroni wolność Zachodu. Również 60 lat minie od powstania Republiki Federalnej Niemiec, a także komunistycznej NRD, z nazwy jedynie demokratycznej. We wrześniu obchodzimy 70. rocznicę wybuchu II wojny światowej, która zaczęła się atakiem Niemiec na Polskę, do którego przyłączył się ZSRR. Wcześniej minie 90 lat od traktatu wersalskiego, który potwierdzał wywalczoną niepodległość Polski, a Niemcom dawał ich pierwszą republikę.

W upamiętnieniu tych rocznic jest szansa, którą oddaje znana maksyma: „Opowiedz mi o swojej historii, a powiem ci, dokąd zmierzasz”. Gdy po raz kolejny będziemy opowiadać, co i dlatego się wtedy wydarzyło, będzie to również okazja do zastanowienia się, co dalej. Bo chodzi tu nie tylko o historię, ale także o współczesność i przyszłość.

◆◆◆
Dzisiaj jednak okazuje się, że w relacjach polsko-niemieckich to ponowne opowiadanie o kluczowych wydarzeniach historycznych może się skończyć polityczną kłótnią. Sporem, który ze strony polskiego rządu koncentruje się na osobie Eriki Steinbach, posłanki CDU i przewodniczącej Związku Wypędzonych (BdV); w tej roli reprezentuje ona interesy, pragnienia i emocje paru milionów Niemców, którzy pod koniec II wojny światowej i po jej zakończeniu musieli opuścić swe domy, uciekając przed frontem bądź później zostali z nich wygnani.

Erica Steinbach zarzuca się fałszowanie swej biografii i historii, a także antypolskie poglądy. Tak ostra ocena uzasadniana jest zwykle tym, że urodziła się w 1943 r. jako

W zaklętym kręgu

W polsko-niemieckim kalendarzu wypada wkrótce wiele rocznic, które powinny skłaniać do szukania form wspólnej pamięci o przeszłości.

Tymczasem okazuje się, że nasze relacje obciążają neurozy i złe emocje. Konieczny jest wreszcie dialog, zamiast dwóch monologów.

STEPHAN RAABE

dziecko niemieckiego żołnierza w okupowanej Polsce (w Rumii koło Gdańska), a zatem nie jest żadną wypędzoną, nie jest wygnanicem. Dalej, że w 1991 r. głosowała przeciw uznaniu granicy na Odrze i Nysie, a później wyrażała zastrzeżenie wobec przyjęcia Polski do Unii Europejskiej, domagając się od Polaków przeprosin i zadośćuczynienia. Ze koncentrując się na losie wypędzonych, sfokusowała niemiecką pamięć tak, iż oprócz ofiar Holokaustu w Niemczech pamięta się głównie o własnych ofiarach, a inne ofiary, w tym Polacy, zostały zepchnięte na margines niemieckiej polityki historycznej i w ogóle wiedza na ich temat jest w Niemczech skąpa. Szereg wypowiedzi Eriki Steinbach, w Polsce postrzeganych jako prowokacyjne, miały doprowadzić w końcu do tego, że w Polsce stała się ona negatywnym symbolem.

Mało kto w Polsce zdaje się zauważać, ile w tej krytyce osoby Eriki Steinbach – trwającej od lat i często pobawionej głębszej refleksji – nazbierało się mnóstwo starych stereotypów połączonej z niewiedzą. Skutek – to demonizowanie jej postaci, chwilami mające

znamiona oszczerstwa, gdy np. wyszydzana jest jako blond-dolina w mundurze SS.

Nie zauważono w Polsce, że w ciągu minionej dekady Erika Steinbach przeprowadziła w Związku Wypędzonych reformę tej organizacji – zmieniając, mówiąc w skrócie, utrwalał dotąd w BdV paradygmat odpowiedzialności za los milionów wygnanców z „roku 1945” na „rok 1939”. Pod jej przewodnictwem Związek zaakceptował terytorialne *status quo* i pozbył się nacjonalistów ze swych szeregów. Występując w imieniu Związku, Erika Steinbach zdystansowała się od roszczeń Powiernictwa Pruskiego wobec Polski, a w 2004 r. zebrała szereg prominentnych postaci niemieckiego życia publicznego na konferencji w rocznicę powstania warszawskiego. Gdy w 2006 r. otwierała wystawę „Wymuszone drogi”, ekspozycja obejmowała także los wypędzonych Polaków.

Mimo to w Polsce mało kto decydował się na rzeczowy dialog z Eriką Steinbach (z paroma wyjątkami, np. Donald Tusk spotkał się z nią dwukrotnie podczas publicznych dyskusji). Zamiast tego była nieustannie łajana i stawiana pod pręgierzem – cokolwiek by zrobiła.

Dzisiaj polski rząd zajął kategoryczne stanowisko, że Polska tylko wówczas przyjmie postawę „neutralnego dystansu” wobec powstającego pod auspicjami rządu niemieckiego projektu Fundacji „Ucieczka, Wypędzenie, Pojednanie”, jeśli „ta osoba” (tj. Erika Steinbach) zostanie od niego odsunięta.

◆◆◆
Jak powinno się na to reagować w Niemczech? Mimo że jest rok wyborczy i rok pamięci – albo właśnie dlatego – nie można uciekać od merytorycznego sporu. Byłby prowadzony rzeczowo, z empatią i dobrą wolą, choć z jasnym określeniem własnego stanowiska.

Dlatego trzeba powiedzieć, że pogląd niemałej części polskich uczestników tej debaty – opierający się na tezie o zbiorowej winie Niemców i odrzucający jakiegokolwiek upamiętnienie niemieckich ofiar – jest anachronizmem. Zarzut, że przez takie upamiętnienie Niemcy

chcą pisać na nowo swą historię, nie ma pokrycia w faktach – czyli w trwającej w Niemczech dyskusji o przeszłości. Podobnie fałszywy jest zarzut, że niemiecka chadecja (CDU i CSU) nie ma odwagi dokonać nowego otwarcia w relacjach z Polską, gdyż bierze pod uwagę środowiska wypędzonych, którzy stanowią część chadecckiego elektoratu.

Warto przypomnieć w tym miejscu, że w latach przełomu 1989–1990 nie kto inny, ale chadeccki kanclerz Helmut Kohl stoczył zwycięską „walkę” ze środowiskami wypędzonych, które wówczas w sporej części ciągle odrzucały granicę na Odrze i Nysie. Kohl uczynił to nie tylko w imię niemieckiej racji stanu (zjednoczenia Niemiec), ale także w imię otworzenia nowego rozdziału w relacjach z wolną od niedawna Polską. Zjednoczone Niemcy potwierdziły granicę na Odrze i Nysie oraz zawarły z Polską traktat o dobrym sąsiedztwie i przyjaźni, a w kolejnych latach wspierały polskie starania o wejście do NATO i Unii Europejskiej.

Warto też przypomnieć, że również przed rokiem 1989 liczni niemieccy chadecy nawiązywali kontakty z Polską, także ze środowiskami niezależnymi – w imię pojednania. Punktem kulminacyjnym obopólnych wysiłków było oświadczenie polskich i niemieckich katolików ogłoszone 1 września 1989 r., w 50. rocznicę wybuchu wojny. Wśród sygnatariuszy byli m.in. Hans Maier i Bernhard Vogel, a z polskiej np. Władysław Bartoszewski, Tadeusz Mazowiecki, Jerzy Turowicz czy Stanisław Stomma. W oświadczeniu przypomniano polskie, a także niemieckie ofiary, nie pozostawiając wątpliwości, kto wojnę wywołał. Mowa była też o tym, że granica jest nienaruszalna, a jednocząca się Europa powinna objąć także Polskę. Zapominanie o tych wysiłkach niemieckich chadeców – na rzecz pojednania, potwierdzenia granicy (traktaty z Polską Bundestag ratyfikował przygniatającą większością; był to sukces Kohla jako lidera chadecji) i włączenia Polski w strukturę Zachodu – i zarzucanie im, że przedkładają interes wypędzonych nad dobre stosunki z Polską, świadczy jedynie o historycznej amnezji.



KNA-BILD

CSU-SPD i wdrożony w 2008 r., także po konsultacjach z Polską.

To sukces Steinbach, która jako *spiritus rector* tego projektu ma być teraz z niego wyłączona. W tym kontekście w oczach sporej części niemieckiej opinii publicznej oraz komentatorów żądanie Polski odsunięcia Eriki Steinbach uderza w Polskę, gdyż nie wydaje się dostatecznie uzasadnione i nosi znamiona działania mającego na celu dyskryminację Eriki Steinbach, a nie prowadzenie z nią merytorycznego sporu. Wielu Niemców pyta, dlaczego Polska w taki sposób ingeruje w niemiecki projekt historyczny i czemu Angela Merkel miałaby zdystansować się od swej partyjnej koleżanki i przewodniczącej Związku Wypędzonych. I czy rząd niemiecki ma tu jakiś dług wobec rządu polskiego, skoro ten powoływał się na konieczność „dochowania przyjętych zobowiązań”?



Nie wiemy, czy takie ustalenia były; kwestionuje to Bernd Neumann, który jako sekretarz stanu ds. kultury w Urzędzie Kanclerskim odpowiada m.in. za sprawy polityki historycznej. Najwyraźniej strona niemiecka nie dość jasno sformułowała swoje stanowisko, co z kolei wzmocniło oczekiwania polskiego rządu, że Steinbach zostanie odsunięta od powstającego w Berlinie miejsca pamięci. Wygląda na to, że polski rząd uważa, iż potrzebuje takiego trofeum jako sukcesu w swej polityce wobec Niemiec, także w kontekście polsko-polskich sporów, gdzie premier Tusk jest krytykowany przez opozycję.

Wydaje się, że strona niemiecka (poza paroma wyjątkami) nie dość zdecydowanie sprzeciwiła się takim oczekiwaniom polskiego rządu. Przeciwnie: sygnalizowano, że takie rozwiązania jest rozważane „w duchu pojednania”, mimo że byłby to afront nie tylko wobec Steinbach i środowisk niemieckich wygnańców oraz pomimo że nie było żadnego rozsądnego powodu, aby zgodzić się na taki krok – poza dwoma: uwzględnieniem znanej polskiej fobii wobec osoby Eriki Steinbach oraz uwzględnieniem faktu, iż SPD i partie opozycji zaangażowały się w ten spór, kalkulując sobie pewne korzyści w roku wyborczym.

Bo nawet jeśli Erika Steinbach działała czasem w sposób niezręczny czy nawet błędny

Tekst ukazuje się równocześnie w „TP” oraz w niemieckim dzienniku „Die Tagespost”. Jest to jedyny ponadregionalny dziennik katolicki w krajach niemieckojęzycznych. Zajmuje się nie tylko tematyką religijną, ale też polityką i kulturą. Istnieje od 1948 r.



wizerunku Polski w Niemczech – są niemałe. Fakt, że pozwolono, aby wszystko zaszło tak daleko, nie rzuca też dobrego światła na stan wzajemnych stosunków. Przyjaciele postępują wobec siebie inaczej.



Trudno też dostrzec w tym sporze historyczną wielkość. Taką jaką okazali polscy biskupi, gdy w 1965 r. wyciągnęli ręce do biskupów niemieckich, ze słowami: „Wybaczymy i prosimy o wybaczenie” – za co zapłacili wysoką cenę, gdy władze PRL przedstawiały ich jako wrogów Polski. Historyczną wielkość okazali Kohl, Hans-Dietrich Genscher, Tadeusz Mazowiecki i Krzysztof Skubiszewski, gdy po przełomie 1989 r. stworzyli nowe fundamenty pod wzajemne relacje. Historyczną wielkość okazał Władysław Bartoszewski, gdy jako szef MSZ w 50. rocznicę zakończenia wojny mówił w Bundestagu nie tylko o polskich, ale także o niewinnych niemieckich ofiarach wojny.

Spór wokół Eriki Steinbach jest smutnym dowodem trwałości polityczno-historycznych neuroz zarówno w Niemczech, jak i w Polsce. Dochodzą one do głosu w obu krajach, gdy mowa jest o pamięci o wojnie i okresie powojennym, a przejawiają się np. w starych mitach zbiorowych o zbiorowej winie i karze, w żywym nadal bólu, jaki wywołuje wspomnienie wydarzeń sprzed ponad 60 lat, w braku empatii wobec drugiej strony i jej cierpień.

Musimy z tym żyć. A jeśli ktoś chce jednak leczyć rany, powinien pamiętać, że wyleczyć można tylko całą ranę, nie tylko jej część. Alternatywa „albo my, albo ona” cofa nas w przeszłość. Ten, kto próbuje rozgrywać ją politycznie, podejmuje niebezpieczną grę.

Najwyraźniej musi minąć jeszcze trochę czasu, zanim spełnią się słowa Václava Havla, że „dojrzał już czas, abyśmy z przyjaznym uśmiechem i pewnością siebie podali sobie ręce, świadomi, iż nie musimy już obawiać się siebie nawzajem, gdyż łączą nas wspólne wartości, za których urzeczywistnienie zapłacić przyszło nam kiedyś wysoką cenę.”

PRZEŁOŻYŁ WOJCIECH PIĘCIAK

→STEPHAN RAABE jest dyrektorem biura Fundacji Konrada Adenauera w Polsce. W tekście prezentuje swoje osobiste poglądy.



Po 1989 r. było dość powodów, by prowadzić rzeczowy spór ze Związkiem Wypędzonych. W wolnej Europie konieczne było doprowadzenie do rzeczywistego pokoju, to znaczy sytuacji, by także środowiska wypędzonych pogodzili się ze zmianami terytorialnymi będącymi skutkiem wojny. Niektórym z tych, co stracili dom na Wschodzie, przyszło to z trudem.

Związek Wypędzonych poszedł tą drogą dopiero od 1998 r., gdy jego przewodniczącą została Steinbach. Koniec końców, podczas sporu o roszczenia wobec Polski (wysunięte przez garstkę ludzi z kręgu Powiernictwa) Steinbach odcięła się od tych roszczeń. Inicjując zaś, wraz z niezującym już politykiem SPD Peterem Glotzem, projekt „Centrum przeciw Wypędzonym”, chciała stworzyć miejsce, w którym – w obliczu coraz szybszego wymierania tamtego pokolenia – upamiętniony zostałby los niemieckich wygnańców (wpisany w szerszy kontekst historyczny ciągu przyczynowo-skutkowego). W 2005 r. projekt został włączony do umowy koalicyjnej CDU/

Niedługo będzie lepiej – Kropka? Pytajnik? Wykrzyknik?

RAPORT O STANIE KRYZYSU ROSJA



ANNA ŁABUSZEWSKA

Putinowska umowa społeczna z lat „zero-wych” naszego nowego, wielce obiecującego tysiąclecia – opierająca się na ideologii drogich i wiecznie drożących węglowodorów i prostym równaniu: społeczeństwo oddaje swobody obywatelskie za stabilność w wypłacie pensji i emerytur i nie bawi się w politykę – odeszła do lamusa historii.

Kryzys – to brzydkie słowo na sześć liter, którego używania w mediach zabraniały rządowe okólniki jeszcze jesienią zeszłego roku – dziś coraz częściej pada z ust najwyższych urzędników. Rządzący tandemem prezydent-premier w pocie czoła pochyla się nad programem antykryzysowym.

Ale ludzie „na dole” nie bardzo rozumieją, dlaczego gospodarkę kraju ma uratować przelewanie strumyka pieniędzy ze „zbiorników retencyjnych” (funduszy stabilizacyjnych) do kieszeni ludzi stojących najbliżej władzy.

Ludzie „na dole” liczą pieniądze we własnych portfelach i miny mają niewesołe: już 35 proc. Rosjan ma kłopoty z otrzymywaniem pensji, a przewiduje się, że do końca roku pracę straci dziesięć milionów ludzi.

Mitologia stabilności usadowionej na ropie i gazie rozpada się jak domek z kart. Naczelny polityczny hipnotyzer, Władimir Władimirowicz Putin, traci wiarygodność z dnia na dzień (może dlatego na ekrany telewizorów powrócił pośród braw Anatolij Kaszpirowski). Zawalił się mit, budowany przez ostatnie osiem lat, polegający na przekonaniu, że pod rządami Putina (a potem Putina-Miedwiediewa) będzie tylko lepiej i lepiej, że ceny na ropę będą stale rosły, Rosję będą cenić w świecie, jej przywódców wszędzie kochać i słuchać tak, jak kocha ich i słucha własny naród, rubel stanie się opoką światowych finansów, a pracować Rosjanie będą jedynie dla przyjemności, bo czarna robotę zrobią za nich inni, którym los nie zesłał petrodolarów i genialnych menedżerów na czele państwa.

Teraz rosyjska elita przypomina gniazdo pełne żarłocznych piskląt, które – drąc się rozpaczliwie – rozdziewają dzioby i czekają, aż z góry spadnie życiodajny ochłap pomocy. Chętni do uratowania się z topieli kryzysu kosztem państwa przepychają się coraz bardziej nerwowo.

A wiadomo przecież, że słodkich pierników dla wszystkich nie starczy. Jak pisze jeden z rosyjskich politologów: głodne lwy, karmione w ostatnich tłustych latach u kremlowskiej „karmuszki”, są coraz bardziej rozdrażnione. Czy nie rozszarpia tych, którzy władają ochłapami?

Na czym polegać będzie nowa umowa społeczna? Władze skupiają się dziś najwyraźniej na budowaniu kolejnego mitu: że kryzys potrwa niedługo, władza da sobie z nim radę, a kiedy minie, życie wróci w stare koleiny. A skoro wszystko potrwali, jak zapewniają politycy, niedługo, więc nie warto nic zmieniać – z władzami na czele.

Czy Rosjanie uwierzą w nowy mit? Amerykanie wierzą, że Obama wyprowadzi ich z bagna. Rosjanie na razie wysłali tandemowi Putin-Miedwiediew pierwszy sygnał, że fasada się sypie: w badaniach opinii odnotowano znaczny spadek zaufania do najwyższych władz. Współczynnik zaufania do Putina spadł poniżej psychologicznej granicy 50 proc. – i dziś aż 40 proc. Rosjan uważa, że kraj idzie w niewłaściwym kierunku. ◆